

KOMEDIA KRYMINALNA

Jeremi Bozkowski



ESTYMATOR

Zbrodnia



na eksport

Jeremi Bożkowski

ZBRODNIA NA EKSPORT

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-18-0

Copyright (C) Antoni Więcko i Karolina Szafert

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1978

Projekt okładki: Olga Bołdok

Jeremi Bożkowski to pseudonim literacki Bożeny Ciecierskiej-Więcko (1935–1986).

Nazywała się Zenobia Sarnawiecka, miała lat 57, oczy szare, włosy blond, znaków szczególnych brak. Zmarła około godziny dwudziestej pierwszej uderzona w skroń syfonem wody sodowej.

Podporucznik Karbolek, młody, obiecujący oficer, pełniący od jedenastu dni swoje pierwsze obowiązki służbowe w komendzie wojewódzkiej, siedział sztywno na krześle w pokoju denatki i myślał, że ma wyjątkowego pecha albo wyjątkowe szczęście. I że od niego samego zależy, co to będzie.

Dziś o godzinie 21.27 zadzwonił w komendzie telefon i jękający się męski głos zawiadomił dyżurnego oficera, że „sąsiadka leży zamordowana”. Dyżurny kapitan Sołdak wstał zza biurka, aby wydać dyspozycje, potknął się na pestce od śliwki, wywinął pirueta i padł ze złamaną nogą. Zanim padł, zdążył jeszcze zatelefonować do podporucznika Karbolka i rześkim głosem oznajmił:

– No, kolego, macie prawdziwe morderstwo! Możecie ze mną pojechać, jeśli biegiem przyleciecie do komendy. Biegiem!

Kapitan nie był jeszcze starym rutyniarzem, lecz lubiącym swój zawód trzydziestolatkiem, więc gorliwość i ciekawość Karbolka, a nawet jego naiwność usposabiała go pozytywnie do najmłodszego kolegi. Ten zaś, kiedy usłyszał, o co chodzi, wypadł z domu, jakby się paliło, wciągając w biegu mundurową kurtkę i poprawiając na schodach sznurowadła. Kiedy zdyszany wbiegł na schody, Sołdaka wynoszono właśnie do karetki.

– Dobrze, że jesteście – powiedział skrzywiony z bólu kapitan. – Pojedziecie z ekipą na tę ulicę Pratchawca 2. Są zawiadomieni, już tu jadą. Doktor też zawiadomiony. Mieszka na Muchołówce, to go zabierzecie po drodze.

– Ale... Tak jest, obywatelu kapitanie! Ale...

– Co jeszcze? – syknął zniecierpliwiony Sołdak i poprawił się na noszach. – Idźcie już, nie traćcie czasu! Potem się ustali, kto przejmie śledztwo. Do was należą tylko czynności wstępne. Wiecie, co macie robić?

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – trzasnął obcasami Karbolek, ale naprawdę to pamiętał tylko, że trzeba zabezpieczyć. Zabezpieczyć ślady! I nic więcej! Trema! Jak na egzaminie! Ludzie z noszami ominęli Karbolka obojętnie. Sołdak zajęty swoją bolącą nogą już nawet nie spojrzał, a on został. Sam, w korytarzu, czekający na ekipę, którą miał dowodzić.

Na szczęście ekipa nie potrzebowała żadnego dowodzenia. Każdy z nich znał doskonale zakres swoich obowiązków i nie zwracał uwagi na młodego kolegę, który siedział z boczku, przeżywał męki i czekał, kiedy ci, przeważnie nie znani mu, ludzie przestaną się szastać z ważnymi minami po mieszkaniu. Widział pod łóżkiem jakiś mały, biały, okrągły przedmiot, ale ponieważ wydawało mu się niepoważne, żeby oficer śledczy, człowiek na stanowisku przecież, włożył publicznie pod łóżko, zaglądał w zakurzone kąty i w ogóle zachowywał się groteskowo, czekał więc na moment, kiedy zostanie sam. Tracił czas i świadom, że go traci, zwijał się w mękach, nadal paraliżowany strachem przed śmiesznością.

Kiedy wreszcie fachowcy poszli umyć ręce, Karbolek dał nura pod łóżko. Wtedy otworzyły się drzwi i soczysty bas zadudnił:

– Może tymczasem dać tych z górki?...

W drzwiach stał wąsaty sierżant, którego Karbolek niewątpliwie musiał już widzieć, tylko nie pamiętał, w jakich okolicznościach. Sierżant nosił wąsy tak absurdalnej długości, że każdy normalny człowiek musiał na nie zwrócić uwagę. Mundur wisiał na nim jak na wieszaku, a czarne oczka patrzyły sceptycznie na młodego podporucznika klęczącego przy łóżku z guzikiem w ręku.

– Naturalnie – powiedział speszony Karbolek. – Tylko nie wiem, czy ten pokój już jest wolny, a w ogóle to jeszcze są tu pewne szczegóły, które należy przedtem wyjaśnić. Jak będę was potrzebował – odzyskał pewność siebie – to was wezwę.

Guzik, to było widać od razu, pochodził z sukni denatki. Tej, którą miała obecnie na sobie.

– Trzeba to zabezpieczyć. Zbadać, w jakich okolicznościach ten guzik się urwał. Tu mogła być jakaś walka. Morderca mógł...

– Z tym guzikiem to on nic nie mógł, obywatelu poruczniku – powiedział flegmatycznie wąsaty i Karbolek zrozumiał w lot, że sierżant chyba go nie szanuje. – Ten guzik odpadł sam. I to nie dziś. Flejtuch była nieboszczka, to i nie przyszła...

– Dlaczego?... Skąd wy... znaczy... – zacukał się znów podporucznik.

– Bo ona ma te guziki na żyłce. A sukienka stara, materiał słaby. Jakby ją kto za ten guzik ciągnął, toby z mięsem wyrwał. Znaczy z materiałem. A tu o, widzi porucznik? – podeszli razem do zamordowanej i Karbolek niemal wdzięczny był sierżantowi w tym momencie za jego obecność. – Nawet żyłki nie ma już w dziurce. Ani żadnego śladu.

Stali przez chwilę obok tapczanu, na którym spoczywały starannie ułożone zwłoki.

– Ciekawe, kto ją tu wciągnął. Chyba nie morderca? A jeżeli?... To by znaczyło, że...

– Ci z górki wciągnęli – sierżant miał na wszystko gotową odpowiedź. – On emeryt, ona dama. Zaprzyjaźnieni z nieboszczką. Janina i Rafał Solniccy. Pod nimi mieszkają Wojczkowie z dwojgiem dzieci. Są na urlopie za granicą. Telefon na półpiętrze. Dla wszystkich lokatorów.

– No to poproście tych... Solnickich – zdecydował podporucznik. – Najpierw ją, oczywiście.

Podporucznik zaledwie zdążył się przy stole i przygotować się psychicznie do pierwszego w życiu przesłuchania, kiedy drzwi otworzyły się szeroko, a do pokoju weszła królewskim krokiem wyniosła osoba około sześćdziesiątki ze śladami przebrzmiałej, ale niewątpliwej urody. Usiadła, niestety nie naprzeciwko, tak jak zaplanował podporucznik, ale z boku, tyłem do zmarłej. Bez pytania sięgnęła po leżące na stole papierosy Karbolka i odginając dystygowanie mały paluszek, osadziła papierosa w długiej, szklanej lufce.

– No, gdzie zapaliki? – spytała z pretensją. Karbolek automatycznie podsunął jej ogień. Zrobił to na pewno zbyt pośpiesznie, więc skarcił się natychmiast za ten pośpiech. Odchylony na oparcie krzesła usiłował przeniknąć ostrym wzrokiem duszę świadka Solnickiej, zbliżyć ją tym z pantałyku i nadrobić pierwsze zaniedbanie. Ale dama nie pozwoliła mu na żadne efekty specjalne.

– Pan tu jest najgłówniejszy? Nie za młody pan, żeby prowadzić tak poważną sprawę? – zagadnęła bez pardonu. – Ile pan ma lat?

– Przepraszam, ale ja tu jestem od zadawania pytań – oprzytomniał Karbolek po tak jawnym afrońcie.

– No chyba że pan – zrejterowała starsza pani. – Ja za wiele przeżyłam, żeby mi się jeszcze chciało pytać. Do tego przesłuchanie po nocy. Jak ja nie zasnę o swojej porze, to potem mam taki ból głowy! O, już się zaczyna! O! – delikatnie dotknęła wymanikiurowanym paluszkami skroni. – Nie ma pan proszka z kogutkiem?

– Nie mam. Pozwoli pani, że przystąpimy do rzeczy.

– No jasne! Dla pana to tylko „do rzeczy”! Pana nic nie obchodzi, że kobieta po prostu omdlewa z bólu! Dla pana to jest tylko świadek i nic więcej. A mnie, jak już zacznie boleć, to po prostu rozsada czaszkę! Ale niech pan pyta, proszę bardzo! Może ja nie potrafię się skupić przez ten ból, ale proszę, niech pan pyta! Dla pana to zwykła rzecz...

– Ja pani dam proszek – przerwał tę tyradę sierżant – ale to bardzo mocny, amerykański. Działa natychmiastowo.

– Niech pan rozpuści w łyżce wody. Ja za nic nie przełknę! Jak to się nazywa?

– Symulantofil.

– Nie znam.

– Bo to nowy środek. Bardzo dobry. Tyle wody wystarczy?

– Starczy, starczy! A dlaczego on taki piniący?

– Bo nasza woda jest niewłaściwie chlorowana. W amerykańskiej się nie pieni. To trzeba wypić duszkiem. O tak!... Lepiej?

– Nooo... – przymknęła oczy i zastygła w tej pełnej cierpienia pozie, a Karbolek zastanawiał się, po co ona odgrywa całą tę komedię. – No, można wytrzymać. Tylko jeszcze tak trochę wyczuwam za uszami, ale tu, koło czoła, jak ręką odjął. Bo wie pan – zwróciła się teraz wyłącznie do sierżanta – mnie, jak już zacznie boleć, to...

– Obywatelko! – chciał powiedzieć groźnie Karbolek, ale wyszedł mu rozpaczliwy jęk, na który obywatelka Solnicka odpowiedziała karcąco.

– Zaraz! Co pan taki niecierpliwy?! Doprawdy, świetny środek! Ale panowie chcieli o tej biednej Zeni! Taki wstrząs! Myślałam, że runę na ziemię koło niej, jak zobaczyłam. Słabo mi się zrobiło i tu w gardle, coś jakby ość...

– Leżała na ziemi?

– Naturalnie!

– Jakie było położenie ciała?

– No przecież poziome! – pani Solnicka spojrzała na podporucznika jak na niedorozwinięte dziecko.

– Dlaczego pani ruszała ciało?

– Ja? Ja bym nigdy nie dała rady! Ja siatki z zakupami udźwignąć nie mogę! Takie mam delikatne ręce.

– Gdzie leżała?

– Tu, koło stołu. Nogami w stronę drzwi. Więc ja zawołałam męża, bo myślałam, że zasłabła, i wzięliśmy Zenię na tapczan, żeby porozpinać i w ogóle. A jej głowa na dół leci! Mąż wziął podtrzymać i mówi: Jasia, tu jest krew... A mnie jakby kto nogi wtedy podciął...

– Przedtem krwi nie było widać?

– Nic a nic! Leżała jakby zemdlona.

– To czego pani się przestraszyła?

– Ja?

– Tak, przed chwilą zeznała pani, że omal nie runęła pani obok niej, kiedy pani zobaczyła ją leżącą. Czy omdlenie robi na pani takie piorunujące wrażenie? Zawsze? – wreszcie zdobył przewagę. Pani Solnicka wyraźnie się straciła. Ale nie na długo.

– A co pan sobie myśli! W starszym wieku to i zemdlenie może mieć skutki. Ale młodzi to nie rozumieją! Młodym to się zda...

– Proszę mi opowiedzieć dokładnie przebieg dzisiejszego wieczoru – przerwał kategorycznie podporucznik. – Powiedzmy od godziny siódmej trzydzieści.

– Trzydzieści! Może było i trzydzieści, jak zeszłam do Zeni po marchewkę, bo miałam wstawić koguta. Patrzę, a ona statki zmywa, jakby nigdy nic. Zenia – mówię – ty zapomniałaś, że dzisiaj „Kobra”. A ona mówi, że zapomniała i że ciasto tylko co do pieca wsadziła. Ale jej piec wolno piecze, to zaraz po ósmej przyszła i mówi, że musi dopilnować. Żeby pamiętać. Bo ona, biedna, nawet własnego telewizora nie miała. Nie stać jej było, a synowie ani mąż nawet nie pomyśleli, żeby kupić. Zawsze korzystała z naszego.

– Oglądaliście, państwo, razem telewizję do końca? Nikt nie wychodził?

– Zenia wyszła. Widać było jej sądzone. Już tak dobrze po połowie, ten gruby chciał jechać, a ta blondyna jego nie puszczała, jak Zenia się zerwała i krzyczy: Ach jej, ach jej, moje ciasto! Pobiegła na dół i już jej nigdy więcej nie zobaczyłam... – zakończyła efektownie sąsiadka.

– Co państwo robili po skończeniu filmu?

– Mąż oglądał jakiś mecz, a ja najpierw zeszłam do klozetu – tam koło telefonu – a potem do Zeni.

– Czy to pani wyłączyła piecyk sąsiadki? – zadudnił ze swego kąta sierżant.

– A gdzie ja bym wtedy miała głowę do piecyka!

Podporucznik Karbolek stwierdził z satysfakcją, że pani Solnicka, mimo wspaniałego, amerykańskiego proszka, nie traktuje sierżanta lepiej niż jego samego.

– Czy drzwi były zamknięte? – Karbolek jednak postanowił nie dopuścić wąsatego do zbyt samodzielnego udziału w przesłuchaniu. Szczęściem sierżant natychmiast przestał się interesować obywatelką Solnicką i wsadził nos w jakieś papiery wyciągnięte z szufladki zmarłej. Podporucznik był nieco zdziwiony, że podoficer wykazuje tyle inicjatywy, ale doszedł do wniosku, że widocznie w każdym mieście i w każdej komendzie są inne obyczaje i że, jakiegokolwiek by one były, należy się z nimi pogodzić.

– Otwarte były, ale ja nie wiedziałam. Pukam, Zenia nie odpowiada. Wołam, że to ja – bo ona zawsze się zamykała na jale i na zasuwę – biorę za klamkę, a drzwi się otwierają. To już mnie tknęło! No i prawda! To prawdziwa tragedia! My z Zenią od panińskich czasów tak się kochałyśmy jak dwie siostry. Ona nikogo bliższego nie miała ode mnie.

– Jak to? A rodzina, dzieci?

– Rodzina? Oni by ją w łyżce wody utopili! Tylko czekali, żeby wszystko zagarnąć! Zaraz się tu zlecą jak sępy! Pan wspomni moje słowa!

– Przed chwilą – Karbolek zadowolony z własnej spostrzegawczości poprawił się na krześle – mówiła pani, że denatka nie była zamożna, nie mogła sobie kupić telewizora. Więc co oni tu mają nadzieję zagarnąć? Sądzi pani, że ktoś z rodziny mógł zamordować sąsiadkę? – przypomniał sobie, że nie należy zadawać dwóch pytań równocześnie, ale było już za późno. Pani Solnicka ominęła pierwsze pytanie i z impetem odpowiedziała na drugie.

– A kto? Tylko z rodziny! Ona by obcego na próg nie wpuściła! Nikomu nie otwierała. Nawet jak listonosz przyszedł, to wyszła do niego do sionki, podpisała...

– Co podpisywała?

– No... różnie. Czasem paczka z Anglii, czasem parę funtów... Bo ona miała syna i męża za granicą. Znaczy pierwszego męża – Rosiaka, bo Sarnawiecki, łobuz, to tutaj mieszka. W puszczy, koło Alpagowa.

– Może pani zechce mnie zorientować w stosunkach rodzinnych sąsiadki? Pierwszy mąż, Rosiak, przebywa obecnie w Anglii...

– Tak. Z Tomaszkiem. Znaczy z najstarszym. Bo ona z Rosiakiem miała dwóch: Tomcia i Marka, z Sarnawieckim Lolka i Krystynę. Rosiak nie wrócił z wojny, na chłopców obiecywał łożyć, ale tyle z tego było, że zwabił najstarszego i przestał biedaczce pomagać.

– A te przesyłki z Anglii, o których pani wspomniała?

– Takie tam przesyłki! Od czasu do czasu, co z nosa spadnie. Niby dlatego przestał słać, że Zenia drugi raz za mąż wyszła. Ale co to był za mąż, ten Sarnawiecki! Nie minęło dziesięć lat, jak ją rzucił i do tego lasu swojego uciekł. Dwoje dzieci miał, a rzucił, jakby nie jego. Najgorzej, że takiego dobrego udawał, dzieci na wakacje brał, Kryśka co roku do niego jeździła. A tam była rozpusta! Jak Zenia się dowiedziała, to zabroniła. Stary sobie babę ze wsi wziął i żył z nią jak z żoną. W jednym łóżku spali! A dziewczynka na to patrzała! Może dlatego tak się zmarnowała?

– Kto?

– Krystyna. Oj, nie miała Zenia pociechy z tych dzieci, nie miała, choć czwórkę wychowała. U nas tylko jeden syn, ale za to inżynier i ciągle po zagranicach, a oni... Choćby Marek! Póki był malutki, to taki słodki dzieciaczek, najlepszy ze wszystkich, a jak wyjechał na studia, to całkiem mu się w głowie przewróciło. Niby doktor, ale wie pan od czego? Od psów! No a potem jeszcze takie małżeństwo! Zenia całymi nocami płakała! Bo on się, proszę pana, ożenił z... hotelarką!

– To przecież bardzo dobry zawód.

– Dobry co?... Panie oficerze, ja sobie wypraszam takie żarty.

– Jak to? Nie rozumiem...

– Pan by się wstydził! Pan jest na służbie!

– Ale...

– Obywatelka świadek chciała powiedzieć – wtrącił flegmatycznie sierżant – że się ożenił z kurwą, obywatelu poruczniku. Tylko że obywatelka się wytwornie wyraża, to obywatel porucznik nie rozumie.

– Sierzancie! – ryknął Karbolek – Proszę opuścić pomieszczenie! Zawołam was, jak będziecie potrzebni!

Sierżant cicho zamknął za sobą drzwi. Może wreszcie doszło do niego, że przeholował? Lepiej późno niż wcale! A może się obraził! Bądź co bądź człowiek starszy wiekiem, choć podwładny... Podporucznika Karbolka, który otrzymał staranne wychowanie i głęboko wpojony szacunek dla kobiet i osób starszych, zaczęła ogarniać niepotrzebna skrucha. Odpędził ją od siebie i zwrócił się uprzejmie do pani Solnickiej.

– No więc, czy istotnie... czy miała pani na myśli, że żona Marka Rosiaka jest osobą... hm, lekkich obyczajów?

– Przecież ją wziął z panińskim dzieckiem! Nie wiadomo po kim, ilu ojców miało, bo nazwisko nosi jej, panińskie. Ale to jeszcze nic! Tylko się poznała z Markiem, a już za parę dni razem wyjechali na urlop. I od tej pory żyli na kocią łapę cały rok. Aż zmusiła Marka do ślubu! To chytra kobieta jest! Chytra i wredna! Już trzy lata są po ślubie. Marek schudł, zmarniał, już by chciał z tego małżeństwa się wywinąć, ale ona jego krótko trzyma!

– Skarżył się matce?

– On? Skąd?! Marek to ma taki charakter, że nigdy się nie poskarży, żeby tam nie wiem co! Ale serce matki czuło, co tam się wyrabia. Marek, jak przyjeżdżał Zenkę odwiedzić, to posiedział pół godziny i zaczynał się kręcić. Że to niby robota w domu, że pora wracać. Wiadomo! Jak żona ma takie skłonności, to jej z oka spuścić nie można. Ale czy to mąż upilnuje? We czwartek tu ją widziałam, w naszym mieście. Szła koło dworca, z dwoma chłopami, roześmiana, wesoła. Poszłam za nią kawałeczek. No i co? Gdzie polazła? Do hotelu! Pan mi teraz powie, panie oficerze, czy porządna kobieta, mając tu matkę, szłaby do hotelu? Po co?

Karbolek postanowił nie wyjaśniać oburzonej damie, po co porządne kobiety chodzą do hotelu. Zapisał na karteczce „sprawdzić, kiedy wyjechała Rosiakowa”.

– Nie orientuje się pani, czy Rosiakowa odwiedziła teściową?

– Sama się zaciekawiłam, spytałam Zeni, czy dzieci nie przyjeżdżają, a ona mówi, że nie. Markowie pracują, Loluś ma egzaminy... Akurat! On zda te egzaminy! Jemu poezje w głowie, a nie medycyna.

– Czy pani zna miejsca zamieszkania poszczególnych członków tej rodziny? Adresy?

– Adresy to mnie nie były potrzebne. Wiem, że Markowie mieszkają w Wagonowie koło Zoologu, Lolek w Białoboku, u takiej jednej Zajączkowskiej, na stacji, a Krystyna tu, razem z matką. Ale jej nie ma. Od maja. Jak tylko zdała maturę, to zwinęła manatki i pojechała nie wiadomo gdzie. Awanturę przedtem zrobiła matce, że ta trzy dni do siebie przyjść nie mogła. O pieniądze na wakacje. Żeby z chłopakami się włóczyć autostopem! Po to jej były potrzebne pieniądze!

– Otrzymała je?

– Co pan! Zenia nie dała ani grosza. Jeszcze czego!

Karbolek westchnął. Oczywiście, ani grosza, bo jedzie z chłopakami. Więc w imię moralności matka nie da ani grosza, a potem milicja w atrakcyjnych letnich miejscowościach wyławia grupki młodocianych złodziejaszków, chwilowych prostytutek, które idą z „dobrym wujciem”, bo nie mają gdzie spać. Ale rodzice są w porządku.

– To byłoby na razie wszystko. Dziękuję, bardzo nam pani pomogła. Oczywiście będziemy panią musieli jeszcze prosić o złożenie oficjalnych zeznań w komendzie, ale to

nieco później. Prosiłbym jeszcze, żeby nam pani zechciała pokazać dokładnie, w jakiej pozycji leżało ciało, kiedy pani weszła. Może zechce się pani położyć na podłodze tu, gdzie...

– Położyć na podłodze!? – dama obdarzyła Karbolka tak wyniosłym spojrzeniem, że ten poczuł się jak mała, pełzająca po podłodze pluskwa. – Owszem, mogę panu pokazać. Niech pan wezwie tego z wąsami, to ja go wymodeluję.

Sierżant wyrósł jak spod ziemi, co nasunęło podporucznikowi myśl, że podsłuchiwał pod drzwiami.

– Kładźcie się, sierżancie. Gdzie? – zwrócił się do pani Solnickiej, która przyglądała się Fidybusowi z głęboką zadumą.

– Tutaj, tutaj, ale nogi musi pan podkurczyć, bo jej nogi sięgały tylko do szafy.

– Miała podkurczone?

– Nie, ale ten pański milicjant ma za długie.

– To niech pani weźmie z łaski swojej siekierkę i przytnie do właściwej długości, bo wszystko musi być dokładnie – poprosił pokornie sierżant.

– Zabroniłem wam się odzywać! – syknął wściekły Karbolek i nagle doszedł do wniosku, że wścieka się nie na tę osobę, na którą powinien. Stracił cierpliwość i szacunek dla obywatelki Solnickiej. – Mówiłem, żeby się pani sama położyła! – huknął. – Jak ją pani musiała ruszać i śledztwo gmatwać, to teraz niech pani swój błąd odrobi, jeśli nie chce pani być oskarżona o zacieranie śladów!

Dama spojrzała na niego spłoszona, ze zboląłą miną wyciągnęła z szafy koc, rozłożyła na podłodze i zaczęła się mościć. Wreszcie znieruchomiała i zamknęła oczy. Tak ją zastał małżonek. Trzeba przyznać, że zachował się dzielnie. Zbladł tylko, oparł się o ścianę, ale jak przystało na prawdziwego mężczyznę, głosu z siebie nie wydał.

– Tak leżała? Dokładnie tak? Proszę się przyjrzeć.

Solnicki w milczeniu pokiwał głową. Podporucznik Karbolek miał więc przed sobą względnie przejrzysty obraz sytuacji. Denatka leżała między drzwiami, wychodzącymi na korytarz, i stołem, na którym znaleziono narzędzie zbrodni. Syfon stał obok tacy pełnej okruchów szkła, zapewne ze szklanki, którą morderca musiał stłuc, celowo lub przypadkiem, a której okruchy zaścierały chodnik obok stołu, stół i tackę. Wyglądało, jakby ktoś tę szklankę stłukł, a potem szkło z rozmachem zgarnął na podłogę. Nogi pani Solnickiej wprawdzie nie sięgały aż do szafy, ale za to były ułożone we właściwej pozycji – jedna wyprostowana, druga lekko zagięta w kolanie, głowa odchylona do tyłu, ręce rozrzucone. Podporucznik zauważył, że gdyby denatka – kobieta duża i ciężka – padła bezwiednie w takiej pozycji na te okruchy szkła, musiałyby się pokaleczyć. Tymczasem na jej gołych nogach i odsłoniętych rękach nie było najmniejszego zadrapania. Solnicka także zeznawała, że krew zobaczyli dopiero, kiedy przenieśli sąsiadkę na tapczan. I to tylko krew na skroni. Więc... czy to wszystko znaczy, że szklanka została stłuczona potem? Po morderstwie?

– Czy państwo pamiętają, co tu stało obok syfonu?

– Szklanka – odpowiedzieli chórem Solniccy.

– Stała wtedy, kiedy państwo tu weszli ratować sąsiadkę?

– Stała.

– Nie stała – chór stracił zgodność.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI